



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-

wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Możnaby przypuszczać, że się nic w świecie ważniejszego nie dzieje i że wszystko w porządku, jak powiada panna Figaszewska w „Dwóch bliźnach.” Politycy załamują ręce nad pustemi gazetami i dziwią się homeopatycznej dozie telegramów, do których w ostatnich czasach tak przywykli, iż od nich zaczynali i na nich kończyli czytać dzienniki.

Maj rozpogodził, rozkołysał, rozmarzył chyba świat cały i dyplomacyą.

Po ogródkach słowiki zawodzą tak miłośnie, jakgdyby po raz pierwszy się kochały i jakgdyby całe życie było tylko *canzonetta*.

Zdaje mi się, że w jednym uchu brzmią mi słowa Heinego, a w drugim melodia Schumanna i że to wszystko w cudownie uroczą zlewa się harmonią, pod której wrażeniem byłbym gotów uściskać nawet p. Sygietyńskiego, choć mnie jak Marsyasza chciał obdrzeć ze skóry za napisanie „Filiarów”, którzy nie mieli szczęścia podobać mu się, jak wogóle nic, co miałem fatalność w życiu napisać.

Byłem prawdziwie niepokieszonym z tego powodu, przeczytawszy zwłaszcza zapewnienie krytyka mego, że gdybym dzisiaj umarł, to nieby po mnie nie zostało, literalnie nic!..

Ach, mój Boże—tak zupełnie bez śladu nie zejść chyba z tego padółu łez, płaczu i krytyki; zostaną po mnie przecież cztery kapitalne artykuły p. Sygietyńskiego, które jak dotąd są chyba jego najdłuższem arcydziełem w literaturze współczesnej.

Gdyby nie Maj, cudny Maj, z wszystkimi urokami i kaprysami tych nowoczesnych wiosen,

które cierpią widocznie na hysteryą, chodziłbym zachmurzony i ponury, jak najbrzydszy dzień zaduszny i wdziałbym żalobę po mojem literackim nicestwie; ale słonko tak się do mnie uśmiecha, jakgdyby i ono czytywało naszych St. Beuve'ów, Jules Janin'ów i Brandesów *en miniature*. Za miastem tyle zieleni, tyle kwiatów, tyle gąszczu i listowia, że nawet sobie gałęzi upatrzyć nie może zrozpaczony autor, na którejby swój marny żywot zakończył.

Mieliśmy wprawdzie dziwne kontrasty aury, po lipcowych upałach nastaly, ni ztąd, ni zowąd listopadowe chłody, ale, na szczęście, do tych przekładniców temperatury mieliśmy czas przyzwyczaić się w ostatnich latach.

Jest wszelako nadzieja, że litościwe niebo ustatkuje teraz pogodę ze względu na blizki termin wystawy, sezon wyścigowy, wyjazdy do wód i na willegiaturę, wreszcie na wakacje, o których śni już po nocach młodzież w mundurkach i bez mundurków.

O pogodę i o fundusze modli się zapewne wspólnie z dziatkami poczciwy Dr. Fritsche, główny i wytrwały protektor kolonii letnich dla słabowitych chłopców i dziewcząt.

Mam właśnie przed sobą wydane przez zacnego konsyliarza sprawozdanie za rok ubiegły, z którego dowiaduję się samych pocieszających rzeczy. Wyznaję, że te małe broszurki należą do mojej nader zajmującej i ulubionej lektury; to tak miło przeczytać, że są ludzie dobrzy, uczynni, miłośni, którzy małemi środkami robią więcej, niżby spodziewać się można.

Dobrym sercom ofiarodawców i protektorów, a energii komitetu osad wakacyjnych zawdzięczać należy, iż ta instytucya z każdym rokiem rozwija się pomyślniej i do coraz świetniejszych dochodzi rezultatów.

Rok ubiegły był najlepszym ze wszystkich dotychczasowych. Przeciętny koszt utrzymania jednego dziecka wypadł najtaniej, a ilość wy-

slanych dzieci doszła do maximum w danych warunkach.

Od sześciu lat 1.009 malców korzystało ze świeżego powietrza, dobrej strawy, ścisłego nadzoru, koleżeńskigo pożycia, stosownej rozrywki i kosztem ogółu nabrało zdrowia, zapasu sił, lepszej cery, rumieńców i odporności organizmu na wypadek choroby.

Ciekawe, jak zawsze są liczby w tem sprawozdaniu; oto niektóre z nich:

Na ogólne wydatki w zeszłym roku wydano rs. 3.663 kop. 61, zebranych z ofiar dobrowolnych w gotówce, nie licząc wartości złożonych materiałów, ubrań, obuwia i t. p. drobiazgow. które oceniono ogółem na jakie 700 rs. Poczciwe nasze Warszawianki same krajały, szyły i przygotowywały tę całą wyprawę dla wakacyjnych osadników, których liczba w zeszłym roku doszła do 278.

Doświadczenie uczy rozumu i oszczędności; kiedy w pierwszym roku zakładania osad letnich utrzymanie jednego dziecka przez cztery tygodnie na wsi kosztowało przeciętno 24 rs. 71 kop., w roku zeszłym ta summa dała się praktycznie zredukować, przy większej prawie sześciu razy ilości dzieci wysłanych, do połowy. Wydano bowiem rs. 12 kop. 72 na jedną głowę w ciągu ubiegłych wakacyj. Prawda, że komitetowi z coraz większą pomocą przychodzi prawdziwie obywatelska i humanitarna ofiarność. Znajdują się bowiem tak znaczne i uczynne matrony, jak p. Mieszkowska, dziedziczka Kozłowa w Pułtuskim, która dla 25-ciu dziewczątek piękny dom umyślnie zbudowała pod lasem i żywnością je zaopatruje co roku, albo p. Domaniewska ze Szadkowie, która na swoim wyłącznym koszcie utrzymywała nie poraz pierwszy siedm pensjonarek.

Najbardziej pożądaną nowością był, mojem zdaniem, najpraktyczniejszy, przy dobrej woli, sposób lokowania chłopców w domach obywatel-

skich. Pan Chelmiński z powiatu Rypińskiego zajął się w swej okolicy rozmieszczeniem dwunastu chłopaków starszych u swoich sąsiadów i sam otaczał ich prawdziwie ojcowską opieką.

„Chłopcy powrócili uszczęśliwieni — pisze dr Fritsche w swem sprawozdaniu — przez cztery tygodnie biegali popolu, jeździli konno, pilnowali robotników w polu lub w lesie, wydawali kwity — jednym słowem: czas ich był zapełniony przyjemnie, nie bez korzyści. Za gościnność tak serdecznie ofiarowaną, odplacili się pracą pożyteczną. Niektórzy z nich przyjechali kompletnie wyekwipowani, a inni dostali nawet w prezencie od swoich gospodarzy pieniądze na wpisy szkolne.“

Obie strony podobno były zupełnie zadowolone; spodziewać się zatem należy, iż zacna inicjatywa i zabiegliwość p. Chelmińskiego znajdzie naśladowców i w innych stronach kraju.

Niepodobna też do serc i przekonania czyjeś trafić lepszym argumentem, niż to uczynił dr Fritsche, mówiąc: „Jeżeli pomyślimy, ile czasu, trudu, pracy i pieniędzy zużywają ludzie dla udoskonalenia rasy koni wyścigowych, bydła rogatego, nierogacizny etc., co jest, oczywiście, bardzo chwalebne, to czyż nie weźmie nas ochota poświęcić trochę czasu i naszego trudu dla udoskonalenia rasy ludzkiej. Zajęcie to, jeżeli będzie mniej lukratywne, to z pewnością owiele szlachetniejsze, a wiele więcej dla ogółu korzyści przynoszące.“

Kładę wam ojcowie i matki na serce powyższe słowa, a drowi Fritschemu w uścisku poczciwej dłoni życzę, aby w tym roku jego starania i zabiegi jeszcze świetniejszym uwieńczone zostały skutkiem; przecież to cała jego nagroda i jedyna zadowolenie!...

Dzieci pojedą tedy na wieś, a my?... my zanim tłumoczki podróżne spakujemy, będziemy wprawdzie mieli nasz letni karnawał. Na Ujazdowie wystawa inwentarza, na Mokotowie wyścigi, jarmark wełniany, Wianki na Wiśle, cały szereg zabaw - *monstre*, zapowiedzianych na cele go-broczyenne, ogródki, etc. etc., wypełnią program wprawdzie, zanim kanikuła wypłoszy nas — *le beau monde* warszawski — z rozpalonego bruku.

„Lutnia“ jedna zaczęła wycieczki wcześniej od wszystkich i odbyła zwycięzko dwie wyprawy na prowincję. Częstochowa i Płock miały pierwszą wizytę śpiewaczego grona u siebie; w Częstochowie witano gości z niezwykłą serdecznością i animuszem, nie chciano się z nimi rozstać, na każdą większą stacją wysyłano potem po ich wyjeździe telegramy z pożegnaniem.

Płock był podobno trochę chłodniejszym przy pierwszych odwiedzinach, ale nie dziwnego; on warszawskich gości nieważniej częściej u siebie, od kąd nasi „dzielni wioślarze“ z falami szarej Wisłoki wytyczyli do niego pierwszy drogę.

Byłem i ja z tą pierwszą nawałą i pamiętam, żeśmy wszyscy wracali, jak z Gorkondy, uwożąc prawdziwe złoto... wrażeń i wspomnień z dwudniowego pobytu.

Jeżeli przyjdzie do skutku projektowane towarzystwo podróżnicze, o którym wspominałem na tem miejscu, będziemy z wesołą pieśnią odwieczali po kolei rozmaite prowincjonalne grody; tymczasem ktoś tam urządza wycieczkę zbiorową w Góry Świętokrzyskie, a ktoś drugi wyprawę aż do starego, nadmorskiego Gdańska. Chciałbym, żeby się to udało; powodzenie bywa najlepszą zachętą, możeby wówczas z pośród uczestników jednej i drugiej wycieczki znalazło się odrazu spore gronko propagatorów przyszłego towarzystwa.

Ważniejsza od niego instytucja powstaje tymczasem z inicjatywy i staraniem wyłącznie samych kobiet.

Mężczyźni zostali wykluczeni od współprawnictwa i udziału, aby tem więcej charakteru samodzielności nadać przyszłej instytucji; będzie nią kasa pożyczkowo-wkładowa dla kobiet pracujących w Warszawie. Miałem sposobność przeglądać projekt statutu, nad którym właśnie w tym czasie toczą się obrady w kole najbliższej interesowanych wnioskodawczyń.

Wkładka miesięczna wynosić ma najmniej pół rubla; każda z uczestniczek zaś mieć będzie wła-

sne *conto* i może składać swoje oszczędności na procent w kassie, z której zaciągać ma prawo pożyczki a w ważnych wypadkach zapomogi.

Przyznam się, że czas już wielki, aby tego rodzaju stowarzyszenie powstało. Ież to projektów poprawienia doli tych biednych istot, skazanych na życie bez jutra, poszło na marnel... co się stało ze sprawą towarzystwa szwaczek?... z konkursową jego ustawą i z pierwszymi składkami, które napływać zaczęły?... Pisano, rozprawiano, napsuto mnóstwo papieru i piór, a ostatecznie ani dymu, ani popiołu z tych przygotowań nie zostało.

Tym razem wzięły się do przeprowadzenia projektu swego osoby energiczne, z dobrą wolą i wytrwałością; mam wszelkie prawo wnioskować, że sprawa na połowie drogi nie utknie i że nowe stowarzyszenie jeszcze w tym roku zacznie swoją działalność.

Nie podoba mi się tylko, że pierwotna myśl inicjatorów usunęła całkowicie i bezwzględnie meczyzyn od udziału w towarzystwie i w zarządzie; mniejsza o tytuł i prerogatywy, — chodzi mi o uzyskanie jednego, jedyne prawa, a to mianowicie o prawo popierania pod jakimkolwiek pozorem kassy pożyczkowo-wkładowej kobiet pracujących, w której interessowane będą nasze żony, siostry, lub córki.

W tym charakterze powinniśmy być dopuszczeni na listę członków-protektorów i chyba tą furteczką dostaniemy się do przedsionka nowej instytucji, aby w nim składać milcząco i bez wszelkich pretensji nasze udziały dobrowolne.

Życzę przyszłej kassie lepszego powodzenia aniżeli je miały pierwsze próby przemysłowo-handlowe inicjatorów spółki mięsnej i wywozu wędlin do Paryża.

Debiut naszej nierogacizny nad Sekwaną zrobił *fiasco*, przy najprzyjaźniejszych warunkach; nasze szynki bowiem zasmakowały Francuzom; syndykat rzeźników paryżskich przyrzekł wpłynąć na zerwanie handlu z dostawcami niemieckimi na wypadek, gdyby wędliny polskie okazały się dobre.

P.p. Misiewicz i Gostkowski wysłali tedy całe dwa wagony szynki do Paryża, urządzili tam cztery sklepy i zaczęli nadsekwańskich smakoszów karmić naszą wieprzowiną, ale szynki z radości czy wzruszenia, że je taki nadspodziewany sukces spotkał, w krótkim czasie... zepsuły się zupełnie.

Potrzeba było cały towar zniszczyć, a dla ratowania narazonej opinii postarać się jak najszybciej o nowy transport lepiej przyprawionych wędlin, dających się dłużej konserwować.

W tym celu p.p. Gostkowski i Misiewicz zwołali zeszłej niedzieli naradę, na której zamierzali porozumieć się z warszawskimi masarzami, czy zechcą powierzać im w komis swoje produkty.

Interes według przypuszczalnych obliczeń może dawać korzystne zyski, ceny w Paryżu są wyższe, niż u nas. Niestety, rezultat narady w tym przedmiocie był prawie żaden, gdyż zaledwie kilka osób przybyło na posiedzenie.

Projektowana spółka wszelako niema na celu tylko samego pośrednictwa, ale zamierza na własne ryzyko założyć dużą rzeźnię i przerabiać własnym kosztem mięso wieprzowe na wędliny w sposób odpowiadający warunkom wywozu.

— Że też my nawet w takich rzeczach, jak nierogacizna, nie mamy szczęścia, a zdawałoby się, iż w tym rodzaju właśnie nie potrzebowałibyśmy się obawiać konkurencji — mówił mi pewien złośliwy dowcipniś na kawie w Ogródzie Saskim — przecież tu u nas, jak się uda *sus scrofa domestica*, to jest co podziwiać, w kraju panie imponuje, a kiedy jej się uda raz wyjechać zagranicę, aby tam reprezentować godnie swój rodzaj, to masz pan — musi pokpić sprawę i narazić nas na kompromittacyę, nawet poświęrtowana i uwędzona!...

Na wystawie inwentarza zobaczymy zapewne niejednego wspaniałego egzemplarza trzody chlewnej obok kędzierzawych baranów i owiec, utuczonych cieląt, rozsadzistych krówek i koni, których podobno niewiele stanie w przegrodach na Placu Ujazdowskim; ale najciekawszym okazem, który

może zapewnić powodzenie całej wystawie, będzie prawdopodobnie dla publiczności warszawskiej... kolej elektryczna, urządzona przez berlińską firmę Siemens i Halske.

Ta nowość u nas dotąd niewidziana zainteresuje Warszawian w tym samym stosunku, w jakim na wystawie tkackiej interessowały nas... fortepiany i popisy wokalo-muzyczne.

Szkoda, że żadna krajowa firma nie wpadła na ten pomysł ale to już tak bywa od wieków, że obcy mają u nas więcej szczęścia i dobrej inwencji od swoich.

Cudzoziemczyźnie daje się u nas zawsze jeszcze pierwszeństwo, zawsze zachowuje przywileje, krzywdzące nasze własne interesa, nasz własny przemysł, naszą własną sztukę.

W *Kuryerze Codziennym* czytaliście zapewne artykuł p. t. „Zawsze to samo“, w którym opisano fakt następujący, mający związek właśnie z powyższą kwestją: Oto jeden z młodszych przedstawicieli sfery finansowej żeni się z posażną panną i urządza sobie apartament elegancki i zbytkowy; mniejsza o to, że pan młody spory fundusz włoży w meble, obicia i gracki. Ma pieniądze, wolno mu niemi rozporządzać, jak zechce; ale co w tej sprawie naprasza się pod krytykę i zasługuje na publiczną naganię, to ten szczegół, iż młody Nabab całe urządzenie domu sprowadza... z Berlina.

„Wystawy muzealne — powiada *Kuryer* — przekonały wszystkich, co nasz rzemieślnik jest wart, pokazały jego gust i biegłość w swoim fachu. Zachwycano się też wyrobami tapicerów, stolarzy, pozłotników. Cóż jednak nam z tego platonicznego zachwyty, gdy w razie potrzeby udajemy się do Berlina. Naszego zboża tam nie chcą i zabraniają go kupować, a my leziemy naoslep z naszymi pieniędzmi, które za połowę ich wartości przyjmować jeszcze raczą.“

Cóż robić z takimi... uparciuchami!... Są u nas ludzie, którzy myślą, że posiadanie milionów nadaje im prawo do wyswabadzania się od obowiązków obywatelskich, że im wolno iść swoją drogą, potępioną przez ogół i szkodliwą.

Co ich to obchodzić może, iż swojski przemysł i rękodzielnictwo niemają się czem rozwijać, że warsztaty stoją pustkami, że roboty i zarobku coraz mniej?... co ich to obchodzi!...

Quis.

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ V.

Przechodzenie geniuszu i talentu.

Chwalmy ludzi sławnych i ojców, którzy nas poczęli.

Eklezjasta.

Przywiązanie do przodków nie tylko tkwi w naturze człowieka i uwiadczenia się szczególnie w wyższych rasach ludzkości, ale przyczynia się, i to w stopniu niemałym, do umocnienia narodów w złych czasach, a w dobrych bywa zawsze podniętą do dobrego.

Jakób Harnay.

Ze szlachetnych ojców niezawsze rodzą się synowie szlachetni, ani ze złych zii — ale coż jest pewnego pod słońcem?...

Sofokles.

Pozwólcie znaczne heroldy i pany! Tu oto leży człowiek pogrzebany, który był synem Ewy i Adama. Czyż familia Burbona starsza jest i nie ta sama? *Epitet Prior'a dla samego siebie.*

Jak rasy wydają ludzi podobnych między sobą, tak dzieje się i w rodzinach. Rasy zachowują przez pokolenia pewne wybitne kształty ciała, ustrój, rysy, charakter swój ogólny i tak jest

z pojedynczymi ludźmi. Chińczycy, Japończycy, Indianie — Wschód cały przedstawia się nam tak, jak tysiąc lat przedtem. Beduin Arab z czasów Abrahama jest takimsamym, jak Beduin Arab dziewiętnastego stulecia. Jest tak i w Europie mimo mieszaniny ras. Obraz Germańców, malowanych przez Tacyta, jest obrazem dzisiejszych Niemców, z tą różnicą tylko, że nie odziewają się w skóry, a zamiast łuków i włóczni, uzbrojeni są w iglicówki. Opis Gallów Juliusza Cezara w *Commentarii* odpowiada najzupełniej dzisiejszym Francuzom, tak, jakto, co Giraldus Cambrensis pisał o Walijszykach i Irlandczykach.

Podobnie bywa i w rodzinach; dzieci dostają nie tylko rysy twarzy rodziców, ale ich usposobienia, konstytucyjną fizyczną, temperament, charakter. Związki małżeńskie zawierane między różnymi rodzinami wprowadzają tu niewątpliwie zmiany i kombinacje; zwykle przeciw synowie idą więcej za ojcem, córki za matką. Pewne rysy dziedziczne zacierają się zupełnie, za to inne utrzymują się w rodzinach stale i uparcie, ale naród zatrzymuje je zbiorowo i przechowuje — charakter jego i charakter rasy trwa.

Przecież niektóre cechy charakterystyczne stają się dziedzicznymi w rodzinach przez pokoleń kilka. Niekiedy zacierają się w dzieciach, aby nagle ukazać się we wnukach, w prawnukach nawet. Smiles podaje tu, jako przykład, pewną szlachecką rodzinę angielską, w której żyły wpłynęły sto czterdzieści lat temu strumień krwi indyjskiej, i oto od czasu do czasu rodzi się tam dziecko ciemnej cery, gdy reszta rodzeństwa jest biała. Galerye obrazów familijnych wykazują dziedziczność rysów rodzinnych — podobieństwo między przodkiem i potomkiem, występujące nagle po upływie wieku.

Niekiedy podobieństwo rodzinne ukazuje się dopiero z wiekiem; nieraz dzieje się to już ze zbliżającą się śmiercią; niekiedy uwidoczniają się dopiero wtedy, gdy wyciśnie ona na obliczu piętno swoje. Smiles powołuje się w tem na świadectwa obserwatorów wyższego znaczenia. Przytacza wiersz Tennysona, który pisze, że nieraz rysy nieboszczyka, który niczem nie zdradzał rodowego pochodzenia, ukazują nagle podobieństwo, które o niem przypomina. Drugi poeta angielski, Southey zwrócił też na to uwagę, że podobieństwa rodzinne, bardzo mało widoczne, lub wcale nawet dostrzegać się niedające w młodości, gdy ruch myśli, gra namiętności odbijając się na obliczu, wyraz jego i linie rysów zmienia, występuje powoli z wiekiem — wracając przed ostatecznym rozkładem do podobieństwa lat dziecinnych. Miał tego przykład na bracie i siostrze. W średnim wieku nie byli do siebie niczem podobni, ani w układzie ani nawet w charakterze, przeciw z czasem stali się jak-gdyby bliźniętami: — „Wtedy — pisze — widziałem w nich, jak w zwierciadle, ukazujące mi się odbicie mego ojca.“

Walter Scott w powieści swojej *Redgauntlet*, pisze o znamieniu rodzinnym na czole, które przechodziło z ojca na syna.

Na Wystawie Narodowej portretów Smiles studyował cechy charakterystyczne podobieństw rodowych, widniejące w konfiguracji głowy, w kształcie nosa, w wyrazie oczów, w postawie. — Powtarza się to samo i pod względem moralnym — pisze. — Są rodziny wesole, gadatliwe, lubujące się w wystawie, w pokaźności, gdy inne są zamknięte w sobie i skromne: głębokie, niesmiałe. Darwin w dziele swoim „*Origin of Species*“, wykazuje, jak rysy charakterystyczne przechodzą na potomków, jak się przestychują w rodzinach. „Jest to — pisze — faktem niewątpliwie zadziwiającym, że rysy charakteru zagubione czasem we stu pokoleniach, odradzają się nagle. Kiedy charakter po przerwie tak długiej ukaże znowu wyraźnie cechę swoją, hipotezą najprawdopodobniejszą jest nie to, że nagle odezwało się to w potomku tak odległym, ale, że usposobienie tkwiło w wielu następujących po sobie pokoleniach, aż nareszcie przy nieznanych okolicznościach, przychylnych jego rozwojowi, rys charakterystyczny pozyskał sobie możność wybiecia się na wierzch.“

Za przykład stawia Smiles panujący dom angielski; pewne rysy twarzy Stuartów, wniesione tam przez córkę Jakóba I-go, choć zaginęły w Karolu I-ym, ukazują się znowu w Karolu II-gim, w Stuartach pretendentach, i oto królowa Wiktoria jest bardzo podobna do Karola Edwarda.

Habsburgów gruba warga dolna, która za pośrednictwem księżniczki tego domu dostała się i Burbonom francuzkim, ma być rysem odziedziczonym po królowi polskiej, Jagiellonce.

Hohenzollerny i wogóle Niemcy Północni, Prusacy, potwierdzają najwybitniej to, co poprzednio wykazywał Smiles: nieodrodne podobieństwo dzisiejszych Niemców z Germanami Tacyta. Rosłe, ciężkie grubokościste postacie; wielkie, blade z zimnym wyrazem, wołowe żrenice; ogromne, szerokie i płaskie stopy, jakich niema żaden inny lud europejski. Różnica ich z nogą sławiańską, z nogą polską, wygiętą i wysoką na przygubiu, jest tak wielka, że nasze podróżniczeki nie mogą sobie, w literalnem znaczeniu tego wyrazu, dostać bez zamawiania obuwi, zwłaszcza w Prussach.

Moralne i intelektualne przymioty rodzime narodów przechowują się też przez wieki, a i tu Niemcy dzisiejsze mogą służyć za przykład. Jak za Tacyta „młot teutoński“ rozbija wkoło siebie. Jak zaczął na Gallach i Ludach Italskich, wynurzywszy się z Lasów Hercyńskich, tak gruchocze i niszczy dotąd i ileż to biednych ludów sławiańskich, łagodnej, gołębiej natury wyniszczyl i wymordował przez Saxońskie swe plemie wzdłuż Łaby, Weltawy i dalej nad Odrą, Wartą, nad Wisłą... Choć mają w kronikach swoich zapisane *Psie Pole*, niemniej szczep ten silny, wytrzymały, dziko okrutny, jak za tacytowskich czasów pełni swoją historyczną rolę — młota...

Człowiek ma to instynktownie wrodzonym sobie, że się ogląda na przodków swoich — na grupę ludzi, z których wyszedł i to daje początek dwóm wielkim — najwyższemu w ludzkości uczuciom: uczuciu rodziny i gromady narodowościowej. Że przeciw każda istota ludzka jest przede wszystkim dziełem uczuć, myśli — czynów własnych, że każda nosi w piersiach ducha, który o jej osobistej godności, lub nędzy moralnej stanowi, że każda ma swoje własne *conto* wśród ludzkości, więc każda o własnej sile zasługi stać musi, mieć w złem i dobrem odpowiedzialność własną. Kiedy marszałek Francji, Junot zawołał: — „Jestem sam sobie przodkiem!“ — chciał przez to dać do zrozumienia, że od samego siebie i czynów własnych osoba jego bierze swój blask i wartość, jak też jest w ostatecznym rzeczy wypadku dla wszystkich i zawsze.

Talenta bywają dziedziczne, ale geniusz nie, lub niezmiernie rzadko. Talent też jest często wspólnym dobrem; geniusz, to obdarowanie osobiste. Talenta biorą odbicie od otoczenia, od pokolenia swego, geniusz zaś piętno swoje wyciska na wieku, wśród którego zajaśniał. Shakespeare jest też w rodzinie swojej samotnym: nie podobnego mu przedtem, nic po nim. Tylko płody jego ducha żyją i on jedynie zajmuje miejsce w księdze swego rodzaju. To samo ma miejsce z Newtonem i Smiles wykazuje, że najwięksi poeci Anglii wzięli dar swój z natchnienia własnego ducha. Shakespeare, Milton, Burns, Byron, Shelley, Keats i inni.

Tosamo da się powtórzyć o naszych wielkich poetach i pisarzach. Kochanowski jeden zdawał się mieć następcę duchowego w Urszulce swej ukochanej, ale Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, nie przekazali nikomu natchnień swych poetycznych. Ogień święty przeniknął tylko serca tłumów czytających, lecz czyż to już nie dosyć?

Budowa ciała i temperament, rysy twarzy, bystrość wzroku, wzrost, siła i energia, długość lub krótkość życia — są rzeczą dziedziczną. Niemiec Hofacker dowodził nawet, że charakter pisma dziedzicznym bywa, a jest już rzeczą pewną, że bardzo wiele chorób przekazuje się potomkom; skrofuły, suchoty, waryacja, wiele innych chorób, zwłaszcza nerwowych, ale dziedziczność najuparciej chwytająca ofiary swoje, to obyczaj rodzieńców: to próżniactwo, przedstawione w miejsce pracowitości; bezładność w miejsce porządku;

lekkomyślność, usuwająca poważny pogląd na życie i myśl o przyszłości. To wpływa i na rozwój, na skierowanie zdolności, które młode pokolenie otrzymało od natury. Ojciec materialista, może zabić poezją w sercu dzieci swoich, wygasić w nich zapał i wykrzywić kierunek uczuć idealnych, więc odjąć połot myśli, podnoszący duchy i uskrzydlaający w pogoni za pięknem i dobrem, za wzniosłością i cnotą szczytną. Statystyka wykazuje, że pauperyzm bywa dziedzicznym, bo przyzwyczajenie do takiego stanu życia, zle nalogi, których jest skutkiem i przyczyną, przekazują się przez wychowanie, i to są dziedziczności moralne i fizyczne, przechodzące z rodziców na dzieci, — to jest owa klątwa, rzucona człowiekowi z groźbą okrutną, iż ścigać go ona będzie do czwartego pokolenia. „Ojcowie jadal zielone winogrona, a zęby dzieci się psują...“ Regestra więzień, domów kary i poprawy wykazują dowodnie dziedziczność zbrodni i przestępstw, wyrobioną na podstawie skłonności, które zostały wprowadzone w naturę dzieci przez rodziców.

W tem znaczeniu można też rozumieć dziedziczność natchnień i w dziedzinie twórczości artystycznej: rozbudzenie, podsuniecie myśli, wręczenie wytworzenie się dziedzicznej zręczności w przełamywaniu technicznych trudności przedmiotu. Syn mechanika zdolniejszym będzie do pracy w zakresie mechaniki, niż syn wieśniaka orzącego pole, co przeciw przedstawiać się będzie na oko zdolnością, daną mu przez naturę. Zdolność jego w przyjęciu potrzebnego tu wykształcenia, będzie już rzeczywiście wyższą, są też rodziny z pokolenia w pokolenie rzeźbiarzy, sztycharzy, malarzy i było trzech Vanderweldów, czterech Vernetów, dwóch Teniersów. Niemiecka rodzina architektów, Gertnerów, słynęła przez dwieście lat, a cały ród Millnesów odznaczał się w Anglii przez trzy wieki jako architektki, mechanicy, inżynierowie.

Ludy wschodnie mocno wierzą w siłę cnoty i zdolności rodowych, ojczystych. Abdel Kader powiedział raz w tem znaczeniu Francuzom przypowieść taką: — Zasadź w ogrodzie twoim gałąź cierniową i rok cały podlewaj ją wodą różaną, a będzie niemniej wydawać tylko ciarki. Lecz płonka palmy, wsadzona w ziemię najsuchszą i zostawiona bez kropli orzeźwiającej ją wody, urodzi ci słodkie i wonne daktyle.

Plutarch z wielką starannością kreslił zawsze pochodzenie bohaterów swoich — ród najwyższych wywodził od Bogów, olbrzymów lub mędrców. Platon pochodził od Solona, Aleksander wielki od Herkulesa. Cezar powiedział, że początek każdej wielkiej rodziny jest uświęcony, bo każda miała u początku swego wielkiego przodka: pochodziła, albo od królów, którzy rządzą ludźmi, albo od bogów, którzy są rządzcami ludzi. Ale jeżeli przekazywanie charakterów i zdolności jest rzeczą naturalną, wyrodność, wyzucie się z cnot i zdolności przodków, jest przeciw naturze. Przecież nie daje się wykazać tak łatwo dziedziczność charakteru i rysów natury moralnej, jak fizycznej, ponieważ na kształtowanie się charakterów wywiera wpływ wychowanie, otoczenie i kierunki naukowe, które działają na człowieka przez umysł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Pan Roman po odjeździe gości przeszedł się tam i napowrót po pokojach, pochmurny jak noc jesienna, a potem zadzwonił gwałtownie i kazał zaprzęgać. To, co mu ślina pogardliwie przynio-

sła na usta, uznał teraz za najlepszy sposób ułatwienia sprawy sekundantów. Jednego Kościeszę znał trochę. Spotkali się raz na popasie, gdzie trzeba im było przesiedzieć w jednej izbie godzin parę i gdzie został poczęstowany od współtowarzysza doli swojej bardzo dobrym wiśniakiem. Mróz był tegi, on jechał noc całą, był zziębnięty i głodny, a w karczmie nie dostać nie było można, prócz lichej bardzo wódki i razowego chleba, przyjął więc z wdzięcznością czarinę rozgrzewającego napoju, ofiarowaną mu przez bardzo przystojnego młodzieńca, który mu się jako niedaleki sąsiad wylegitymował.—Tylko, że ja szaraczek i chudopacholek, szlachetka z części, a pan: karmazyn jaśnie wielmożny — mówił żartobliwie, podając mu na zakąszenie porządny kawałek smacznego, osiewanego chleba, ze sporym płatem jakiejś wędzonki. — Matka dała mi tego tyle do torby podróźnej, że pożyjemy się obaj—dodał—a że p. Roman jechał z Warszawy, więc go zapytał: co tam słycać? i ztąd poszło że, rozmawiali ze sobą aż do chwili, gdy lokaj p. Romana przyszedł mu powiedzieć, że konie już popasły i jechać można. Pożegnali się bardzo grzecznie, jakkolwiek p. Roman trzymał się w tym tonie lekko chłodnym, który poufałości nie dopuszcza, i Kościeszę, który to widocznie rozumiał, parę razy lekko się uśmiechnął. Ale chłopak był natury żywej i towarzyskiej, wołał więc rozmawiać z kim się zdarzyło, niż milcząc belki palapu rachować, przytem prezentował się zaraz jaśnie panu w ten sposób, który mu dawał zaraz na wstępie do poznania, że się nie ma co lękać dalszych skutków tej przypadkowo zabranej znajomości, bo drogi ich życia nie schodzą się ze sobą i tylko też przypadek na chwilę połączyć ich może.

Raz się to jeszcze zdarzyło na jarmarku w miasteczku, gdzie p. Roman, który mimo pańskich tonów, był gospodarzem bardzo zabiegłym, pojechał kupić sobie parę koni do fornalki. Spotkali się, przywitali i Kościeszę nawet dobrą radę mu dał, aby się pilnował dobrze z handlarzem, od którego właśnie konie targował.—Juzem ja mu raz frycówkę zapłacił, więc pana przed nim ostrzegam.... szepnął mu na ucho i nie przedłużając rozmowy, w swoją stronę się zwrócił, a teraz na myśl p. Romanowi przyszedł. Do niego do Żurawic, postanowił jechać. W takim pojedynku, do jakiego musiał stawać, był to sekundant najlepszy, i ztąd dogodny, że mu zaraz i drugiego pod ręką znajdzie, bo w Żurawicach było kilkanaście części szlacheckich. więc łatwo było o takiego pana brata, któryby jak *bene natus* i *possessionatus* mógł tu figurować. — Panowie Borysowicze znajdują to, czego szukali.... to, co tu jedynie odpowiedniem być może — myślał kalinowski pan, ciskając się na aksamitne poduszki swego wytwornego faetonu.

Stangret zgapiął i oczy szeroko otworzył, gdy mu szorstko zadysponował:

— Do Żurawic....

— Kiego licha on tam szuka?—mruknął sobie z mazurską, bo Mazur był, z nad Wisły, przez p. Romana tu przywieziony. Dzień był gorący, żywy ogień z nieba piekł, a choć parę chmur zaczęło się na błękit niebios wysuwać, nie ochłodziło to upału, i Wojciech złym był, iż musiał na kozioł wsiąść. A była to właśnie najgorętsza chwila dnia, godzina druga z południa.

Jechali piaskami, przecież p. Roman kazał konie gnać. — Nie żałujcie tych szkap!...—krzyknął na Wojciecha surowo i siedział mroczny, z nurtującym mu w piersiach uczuciem posępnego, niecierpliwego niezadowolenia. Doświadczał takiego wrazenia, jak człowiek, któregooby opadł rój pszczoł. Cóż tak małego, coś takiego, coby mógł w dwóch palcach zgnieść, co mógłby depcząc zabijać, kąsało go jednak boleśnie i unosiło się po nad nim w powietrzu—niepochwytnie. Gdy wjechało w las, gdy się zrobiło wkoło niego chłodniej, kapelusz zdjął i pot gorący z czoła otarł, a razem z tą ulgą dla głowy, która go silnie bolała, ogarnęła go wśród zacieni zielonych gąszczu jakiejś uczucie nieznanne mu rozżalenia smutnego. Wanda stanęła mu przed myślą, Wanda, która nie chciała go kochać... On dla niej robił ofiarę z postanowień swoich i pla-

nów wszystkich. Bogaty, chciał ją wziąć ubogą—sierotę wychowaną z łaski, która mogła nie wnieść mu ani grosza, bo jeden kaprys, jedno uniesienie gniewu prezesowej odbierało jej wszystko, a ona... niewdzięczna! odwracała się od niego.

— Czego więc trzeba dla pozyskania miłości kobiety? Był oprócz majątku przystojnym, był młodym; uścisk jego byłby gorącym i zdolnym przelać płomień swój w pierś tej, którąby namiętnym objęciem otoczył i do piersi przycisnął: dlaczego więc wybrana przezeń, nie odpłacała mu się wzajemnością?

Teraz musiano jechać wolno, bo droga przez las była wązka i wydostające się na nią korzenie groziły wywróceniem temu, któryby się z niemi liczyć nie chciał, ale p. Roman już nie rozkazywał pośpiechu. Z głębi serca podnosił mu jakiś głos, mówiący do niego, że miłość, jako prawdziwe i silne, tkliwe uczucie, to węzeł, który spaja serca bez rachunku na to, co dostaniemy przez nią na skarby mienia, dostatek—na skarby szczęścia nawet. Kochamy przez tajemnicę nigdy nie odgadniętego współzucia jednej istoty dla drugiej—kochamy przez sympatią duszy dla duszy, a czyż on umiał zadziernąć między sobą a Wandą nie, z której się to tworzy? Ona była sierotą, ona nosiła żalobę po miłości nieszczęśliwej, która zostawiła jej obowiązek cierpienia, oczekiwań niepewnych i tęsknoty lat wielu: a on przyszedł do niej z dumą swego majątku i namiętnością samolubną, żądając od niej za to tego serca, które wolnem nie było... Odezwała się do niego z prośbą o uszanowanie jej wdowiego jakoby stanu—jej nieszczęścia i wyznała mu, co czuje, co cierpi, co za powinność swoją uważa i gdyby był chciał, umiał, potrafił panować nad egoizmem swoim, byłby dostał choć jej przyjaźń, pozyskał jej przychylność i kto wie, co przyszłość byłaby mogła mu przynieść?

Stał się wśród tych rozmyślań smutnym, żalującym i była chwila, że prawie nienawidził sam siebie, że sobą gardził za cierpienie, zadane szlachetnej, pięknej, nieszczęśliwej istocie—chwila, w której o mało nie zawołał na Wojciecha, aby zawrócił i poza lasem wziął się na prawo, jechał do Rudawicy, gdzieby on padł do nóg Wandy i o przebaczenie prosił, a żądał tylko tego, co mógłby był już poprzednio uczciwie osiąść, a co odepchnął od siebie dziko, on samolub, despota, i gwałtownik!

Był w nim taki moment uczuć i myśli — moment, w którym jego dobry anioł walczył z jego złym aniołem, o jego duszę, o kierunek jego życia — lecz to, niestety! prędko i bezowocnie minęło, bo obok postaci Wandy, wśród ubogich, wykrzywiających się od starości ścian rudawkiego dworu, stała mu przed wyobraźnią Stanisław i pycha panka więcej może, niż zazdrość o względy ukochanej kobiety targnęła nim. — A prędzejże... — zawołał na Wojciecha—popędzaj...

Kapelusz na głowę znowu wziął, na czoło go wcisnął, a wyjechało właśnie z lasu na pole żurawickie, pokrajane, jak szachownica, na poletku małych udziałów, i w oddali ukazała się wieś, którą z daleka można było wziąć za jakiś gaj szczególnie. Nie zabudowana tak pod sznur i frontami chat do drogi, jak siola zwykle, kryła się cała w zieleni sadków, któremi otaczały się dworki zaścianków szlacheckich, stojące to bliżej, to dalej ode drogi, wsunięte przecież zawsze w pełną głąb i zwykle bokiem do niej, ogrodzone wysokimi płotami, po których wiły się dzikie chmiele i powoje, a ode drogi na pasku murawy rozkładały się szerokie liście łopianów, a górą kwineły teraz właśnie modre gwiazdy cykoryi i złociste kwiecie świętojańskiego ziela, wdzięcznie się kołyszące na cienkich, misternych gałązkach. Wśród tej zieleności legło się mnóstwo ptactwa, ale teraz, w gorące południe, wszystko to było cicho pod liśćmi pochowane i tylko pszczoły, baki, czmiele unosiły się w powietrzu brzęcząc wśród pracowitego swego trudu ssania słodyczy z kielichów, które im zastawiła do uczyt matka natura. — A gdzie tu, panie, zajechać? — zapytał Wojciech, gdy zbliżali się do

wsie. Ani miarkował, co tu mógł robić ten jego jaśnie pan, którego wioził parą takich karych koni, jakich nikt nie miał w okolicy—parą koni w angielskich szorach, ze srebrnymi ozdobami.

— Jedź prosto—odparł p. Roman licząc na to, że spotkają przecież kogo, kto ich objaśni, gdzie tu mieszka ten Kościeszę, do którego on interes miał. Szyszając sam ze siebie, usta do pogardliwego śmiechu skrzywił i przyglądał się wsi, ale zanim jeszcze dojechał do niej, spotkali na drodze jednego z panów braci, który sobie mękę ze młyna jedną szkapiną w wasagu wioził. Pierwszy jadących pozdrowił: — Niech będzie pochwalony—rzekł—duży słomiany kapelusz uchylając, co już było oznaką, że się względem p. Romana poczuwał do tej grzeczności towarzyskiej, którą świadczą sobie ludzie, zostający w stosunku łączności jakiejś. Człowiek ten, byłby każdego, w kim-by się chrześcijanina domyślił, w ten podobny sposób pozdrowił, ale nie przed każdym byłby się do kapelusza brał. I nie konie w angielskich szorach, nie faeton p. Romana zaimponowały mu.— A — rzekł sobie tylko — szlachcie jakiś jedzie.... więc tedy z dobrej woli, z atencji i życzliwości jakoby braterskiej, kapelusza uchylił, na co mu pan Roman również poruszeniem kapelusza swego odpłacił i o dworek p. Władysława Kościeszę zapytał.

— A o którego pan dobrodziej pyta? — odparł zagadniony:—Jest w Żurawicach dwóch Kościeszów, co się Władysławami wabia, ale tak mi się patrzy, że pan dobrodziej pewno interes ma do tego co na Ługowem Wzgórzu siedzi.... Tak, tak... pewnikiem do tego, bo ten Władek w szkołach był i więcej się między panów miesza. Ten to zaraz z brzegu wsi siedzi, jak ten oto krzyż, co go widać, na lewą rękę się biorąc. Jest-to cioteczno-rodzony brat mojej żony, bo drugi raz panie dobrodzieju żonaty jestem i wziąłem sobie tymrazem Kościeszankę.

Byłby opowiedział, że pierwsza Żegocianką była, tak jak i on: Jan Chrzyciel, Walenty z Żegotów cię rodził, ale nie stało mu na to czasu, bo p. Roman Wojciechowi rozkaz dał, aby nalewo od krzyża w pierwsze wrota wjechał.

Wojciech na konie cmoknął i poleciały, a szlachcic z rozkoszą za oddalającym się powozem patrzył. To mi, panie, jazda—rzekł—na poduszkach się takich rozepnąć i tak pokawalersku lecieć... Człowiek się musi jedną kobyłą, jak ze smolą wlec i jeszcze biczem ją okładać, choć jego dziady, pradziady, tak też sobie jeździły.... Wszyscy wiedzą, że Żegota jeden hetmanem był i w karmazynach się nosił, ale to tak: jednemu krzyż, a drugiemu łopata. Że przecież mego Jacka do szkoły oddam, to tak mi Boże dopomóż.... Pod kominem trochę grosza zamurowanego w garnku jest, i tej łąki od Bartka Kościeszę nie dokupię, choć dycht do mojego ogrodu przylega, ale Jacka do szkoły powiozę....

W tej chwili właśnie Wojciech osadził konie przed tym dworkiem, który pierwszy od krzyża, na Ługowem Wzgórzu stał. Wrota otwarte były, jakgdyby goście czekając i zajechano też tam paradniej przed dom nieduży, drewniany, którego tylko wystawa ganeczka była gontami kryta. Reszta była pod słomą. Ściany drewniane, ale na podmurowaniu, całe były jakgdyby nakrapiane żywicą, którą z nich słońce na wierzch złocistymi perłami wydobyło. Na podwórku było schludnie i miło, choć zaraz niedaleko znajdowała się studzienka z żórawiem i widniała kolnia, na której po nad wiorzyskiem była ustawiona szychta sosnowych parszaków, które latem na zimowy użytek wysychały. Wtyle był ogródek niewielki, pełen drzew owocowych, a między tymi wiśnie, które dojrzewały już i rumieniły się między ciemnym liściem. U podwalin ścian ciągnęły się grządki kwiatów i ziół aromatycznych, lekarskich: boże drzewko, szałwia, mięta i melissa, a między temi gwoździki białe i czerwone, nasturcya. Z jednego boku widać było parę zagonów maku, także teraz w kwiecie i słoneczniki, podnoszące wyniosłe złociste swe tarcze. Było to wszystko mniej więcej w tymsamym stylu, co po ogrodach wioskowej szlachty, tylko na skromniejszą stopę, pokorniejszym stanikiem. Niemniej czuć było wszędzie dbałość o porządek i

upiększenie, podobnie jak i we wnętrzu domu, który się na przestrzał dzieliła na dwie równe połowy. Ta, do której zastrachana dziewczyna wprowadziła p. Romana, mieściła zaraz od wejścia pokój bawialny, ze staroświeckimi skromnymi mebelkami, z kilkoma wazonikami kwiatów na dwóch, w stronę podwórza wychodzących oknach. Dalej był pokój mniejszy—widocznie należący do mężczyzny, bo nad łóżkiem wazkiem i widać twardo zaslanem, wisiała dubeltówka i zkrzyżowana z nią stara szabla w pochwie ze skórzannymi rapcami. Pod tem był nieduży krzyżyk żelazny, obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i palma z Kwietniej Niedzieli, a ktoś coby tu spojrział uważnie, mógłby domyślić się łatwo, że jestto pokój mężczyzny, który ma obok siebie kochające serce kobiety — pokój syna, mieszkającego z matką.

Tak też było. Kościeszka z matką gospodarował, a ta tak wieszala mu nad łóżkiem obrazki i palmy święcone, jak dawała mu w drogę smaczne przekąski. P. Roman obejrzał się po tym pokoju drągiem uważniej jeszcze. Ze miał sam matkę, która go też podobnie kochała, i podobnie wieszala kiedyś nad jego łóżkiem relikwie takiesame, choć może wytworniej wyrobione i odbijające też inaczej od perskiego kobierca, który tam był u węzłowia jego rozbity, niż tu od bielonej ściany drewnianego przepierzenia, jednak coś mu serce wzruszyło. Coś jak wspomnienie lat młodych zamajaczyło mu w myślach i jakoś zmieknął, rozsmucił się, rozżalił — w ogóle źle się przygotowywał do tego, co jutro przyjąć miało.

Ze tymczasem nikt tu do niego nie wychodził, rozglądał się prawie mimowoli po kątach i zobaczył na drugiej ścianie naprzeciw łóżka pułeczki drewniane, na których było ułożonych książek kilkanaście. Spojrzął na tytuły i zadziwił się: Mickiewicz! Pol!... Co ci ludzie robić tu będą z poezją, jak ją stosować w życiu pod strzechą słomianą? pomyślał, a w tej chwili skrzypnęły drzwi pierwszego pokoju i ukazała się gospodyni domu, przedstawiająca się gościowi jako pani Petronella Kościeszka i przepraszająca go, że tak długo sam pozostawał. — Po syna posłałam, zaraz nadejdzie, bo jest niedaleko: koło odryny gdzie właśnie siano stożą — mówiła, uprzejmie pytając czemu by mu służyć mogła, może filiżanką kawy?

Pan Roman podziękował, jeszcze nie był po obiedzie, do syna jej miał interes i dlatego o tej wczesnej porze przyjechał. Jeżeli więc jest gdzieś w pobliżu domu, to on-by wolał do niego iść, ale kobieta się okrzyknęła na tę propozycję.

— A gdzież znowu... Jej Władek-by się na nią śmiertelnie pogniewał, gdyby taki gość nawet u nich nie spoczął. Byłaby chciała zapytać go: jakim klejnotem się pieczętuje? aby mu powiedzieć, że Kościeszka są Jastrzębicyki. Odziała się do niego w nowy szlafroczek sycowy, w czarne kropki na tle brązowym, przyglądała siwiejące włosy, włożyła czepek ze wstążkami, a synowi kazała powiedzieć, aby wszedł do jej pokoju drzwiami od kuchni, bo mu już naszykowała tam suknie, w któreby się na przyjęcie tego, jaśnie wielmożnego gościa przybrał. Lecz on na wielką jej konfuzję zjawił się tak, jak u roboty był: w bluzie z szarego płótna, w grubych butach po kolana, przepasany paskiem rzemiennym. — A... cóż mi szczęście odwiedzin pańskich sprowadza? zawołał zaraz z proga. — Wiedział, że interes to być musiał, ale niemniej chciał się gościnnym gospodarzem okazać. Miał kilka cygar dobrych, od wielkiego dzwouu chowanych, i wyniósł je teraz gościowi, po którego twarzy poznał że mu coś... coś jest. P. Roman też prędko się wyśpowiadał, po co przybywa, a młodzieniec zamyslił się poważnie. — Chętnie panu służyć — odpowiedział — choć się na prawach pojedynkowych niebardzo znam i tylko coś niecoś o nich wiem, ale pp. Borysowicze mnie objaśnią jak i co czynić mi wypada. Ludzie to bardzo zacni i bardzo poważani, ale w każdym razie bądź pan łaskaw obznać mi mnie ze sprawą. O co panom poszło?

— Mnie o nic iść nie mogło z takim, jak ten jegomość człowiekiem... — zawołał p. Roman znów rozjątrzony, znów pokazujący rogi swej puchy. — Zuchwalec to tylko jest... zuchwalec

i nędzarz, który pieniądze przehulał, a z tonu spuścić nie chce...

— Z jakiego tonu? — zapytał Kościeszka, a p. Roman ledwo się powstrzymać mógł, aby nie odpowiedzieć: — Z tonu, jakiego hołysze przybierać nie mogą... — ale zdołał się powstrzymać. Kościeszka też widząc, że zirytowany jest i rozdrażniony bardzo, nie chciał go zbyt do muru przepierać. Ponieważ tu nie było jeszcze żadnej awantury takiej, która sprawę już brudną czyni — awantury przy kartach, awantury po pijanemu, więc się nie usuwał od usługi żądanej i tylko co do drugiego sekundanta zadumał się trochę. — Jest tu uczciwych i porządnych chłopaków kilku, nawet kilkunastu, ale wiem, że nie każdy do takiej sprawy się nadaje. My tu poloru światowego nie mamy... serca są uczciwe, uczucie honoru głębokie, tylko... jakby to powiedzieć... suknia wierzchnia jest gruba, nie taka, w jakiej się na pańskich pokojach prezentuje. Mam przecież rówieśnika, który tak, jak ja, trochę się między ludźmi przetaił, Franka Żegotę i, za tego ręczę, jak za siebie, że mu nikt nie zarzucić nie może — prócz tego chyba, że wół sukmance się nosi. Jeżeli tedy pan na takich szaraczków przystajesz, to ci służyć będziemy i jak żądasz, jutro koło południa stawimy się w Kolobieliu, jako mandatarysuse pana.

Podali sobie ręce i wkrótce p. Roman pochmurnie zasepiony do domu wracał. Młody Żegota przedstawiał inny zupełnie typ, niż Kościeszka. Niższy był, krępej postawy, a mocny tak, jak olbrzym w bajce; z niedźwiedziem mógł się za bary brać, i szyny żelazne gwał, przytem zartowniś był wielki; przeciw w całej wsi uchodził za najuczciwszego człowieka, z sercem jak wosk miękkim. P. Romanowi silnie się nie podobał, ale nie miał w czem przebierać, a nawet przebierać nie chciał, i ta chwila jakiegoś lepszego nastroju ducha, chwila wydobywającego mu z głębi serca uczucia, ustąpiła znowu nienawiści przeciwko Stanisławowi, z którego przyczyny musiał przechodzić przez te wszystkie próby, upokarzające jego dumę pańską, jego wyniosłą pychę samolubną.

Dalszy ciąg nastąpi.

LIST Z WŁOCH.

Rzym 25 Maja 1888 r.

Najważniejszym zajęciem chwili jest dla Włoch wystawa w Bolonii, a raczej cztery połączone ze sobą wystawy: międzynarodowa wystawa muzyczna i trzy włoskie: sztuki, przemysłu i rolnictwa. Cztery wielkie budynki, których środkowym punktem jest pałac muzyki, tworzą widok godny widzenia; że przeciw bardzo dawno nie mieliście listu ode mnie, więc cofnę się nieco w tył i zacznę od rzeczy nieco dawniejszych, które jednak nie tracą z tej przyczyny interesu swego.

Obok wielkich uroczystości jubileuszu Leona XIII gasło tu wszystko inne i życie światowe miasta, tak, jak i dworu, ustępowało niejako na stronę; ożywiło się też dopiero z wiosną, za przybyciem królestwa szwedzkiego. Po ich odjeździe miał tu swój rozgłos pewny, ostatni bal tegorocznego sezonu, dany w ambasadzie hiszpańskiej. Znajdowali się na nim oboje królestwo, wraz z następcą tronu, który tu wystąpił po raz pierwszy, jako już zastępca ojca — w kadrylu!

Ponieważ król Humbert nigdy nie tańczy, zwykle królowa sama reprezentowała tu królewskość przy rozpoczynaniu tańców, przeciw na tym balu królewicz zajął miejsce opuszczone i w tak zwanym: „Quadrille d'Honneur“ służył matce za *vis à-vis*, tańcząc z ambasadorką hiszpańską, hrabiną Rascon, gdy królową prowadził w taniec ambasador. Ciśnięto się, aby patrzeć, bo królowa Małgorzata, która jest śliczną i zawsze powabną kobietą, nie wyglądała bynajmniej na matkę tego syna, zwłaszcza, że miała prawdziwie wiosenną, nie-

zmiernie wdzięczną tualetę, z blade-różowego jedwabiu, przybraną świeżymi kwiatami bzu. Ze ją tu kochają ogólnie, podwyższa to jeszcze uwielbienie jej, jako pięknej kobiety, choć jest i vice-versa: kobieta wielkiego uroku, wielkiej przyjemności i niezmiernie miłego układu, nieraz pomaga królowej.

Dała się tu słyszeć jeszcze mało znana i młodziutka, dopiero dwudziestoletnia, prima donna, Sigfryda Arnoldson, Szwedka. Zbiegiem okoliczności pierwszy jej występ miał miejsce w czasie bytności królestwa szwedzkiego i król Oskar, który jest nie tylko poetą, ale i zapalonym miłośnikiem muzyki, klaskał jej też z zapalem, a potem obdarzył ją bardzo kosztowną bransoletą, sadzoną perłami i szafirami. Urodzona w Sztokholmie w 1867 r., jest ona córką śpiewaka królewskiej opery. Dziewczynką jeszcze była, gdy ją usłyszała Krystyna Nilson, która nazwała ją następczynią swoją i zobaczywszy się w Paryżu ze Strakoschem, dała mu znać, że oto nad-rasta nowy *słowik północy*. Usłyszawszy to z ust tak wiarogodnych, impresario udał się natychmiast do Sztokholmu i wywiózł z tamąd młodą dziewczkę do Berlina, aby się kształciła pod kierunkiem Artôt. Przeszłej zimy przebywała w Paryżu, gdzie studyowała partya *Mignon* pod dyrekcją Massenet'a i wystąpiła w niej następnie. W Londynie śpiewała w *Cyruliku* w roli *Rozyny*, która też odtworzyła w Rzymie. Ze jest bardzo ładną, wdzięczną, i skromną, że wygląda niezmiernie młodo, niemal dziewczęcą, podwaja to urok, który wywiera głos świeży i bardzo sympatyczny, prawdziwie słowiczy, któremu wróżą jeszcze zdobycie tej wyższej siły, jakiej nie posiada obecnie. Królowa Małgorzata obdarowała również śpiewaczkę piękną ametystową ozdoba na głowę i była dla niej bardzo łaskawa.

A spotkał się tu *słowiczek północy* z tradycyjnym nieprzyjacielem słowików — z czarnym kotem, który niespodziewanie ukazał się na scenie i nie dał się z niej usunąć, mimo usiłowań, które czyniono w tym celu. Aby nie przeszkadzać sztuce, zwłaszcza, że się to działo w obecności królewskiego dworu i dostojnych gości, kot, który był do tego ogromny i bynajmniej nie lękliwy, został panem placu, a było to szczególnym zbiegiem okoliczności, bo przypominało zupełnie takie samo zajście, siedmiesiąt dwa lata temu, przy pierwszym w Rzymie przedstawieniu „Il Barbiere.“ Wtedy także kot, i także czarny, zjawił się na scenie i tak śmiało płał się między aktorami, że śpiewak przedstawiający Don Bartola, nadeptawszy go, posłiznął się i przewrócił, rozkrwawił sobie nos, co wywołało słowny śmiech między publicznością, lecz zarazem tak źle wpłynęło na artystyczną stronę opery, na nastroj śpiewaków i publiczność, że młody tenor, występujący po raz pierwszy, nie odniósł spodziewanego tryumfu. Przeciwnie, zmieszany, zniechęcony zrobił *fiasco*, i wygwizdany, porzucił na zawsze zawód sceniczny. Zabobonni Rzymianie, którzy dotąd wierzą w *jettature*, widzą w tem fatalnym ukazaniu się czarnego kota złą wróżbę dla przyszłości młodej śpiewaczki.

Poprzedzając wystawę bolońską, odbyła się tu pierwsza w Rzymie wystawa drobiu i zwierząt domowych. Królowa Małgorzata przewodniczyła otwarciu i okazywała wielkie zajęcie tą częścią wystawy, która wchodzi w zakres gospodarstwa kobiecego. Nabyła przytem dla swoich wiejskich folwarków, posiadanych w Sabinach, a które stara się uczynić gospodarstwami wzorowymi, najpiękniejsze okazy wspaniałe upierzonego drobiu, które wystawił niejaki signor Facchini z Modeńskiego. Królowa wielce się interessowała okazami włosciańskimi, które oglądała uważnie.

W dniu 25 Kwietnia odbyło się w Kwirynale posiedzenie zawiązanych przez królową pań, które należą do towarzystwa włoskiego Czerwonego Krzyża, a to w celu narady, co do środków, jakie w razie wojny ułatwiałyby czynność stowarzyszonych. Zebrało się osmdziesiąt delegatek, ze wszystkich stron włoskiego państwa, od Piemontu, do Sycylii. Królowa przyjmowała zgromadzenie w wielkim Żółtym Salonie i przedyskutowała osobiście, mając obok siebie do pomo-

cy księżną Pignateli Strongoli i margrabinę Villamarina, oraz dwóch delegatów: margrabię Villamarina i prezydenta towarzystwa: hrabię Giuliano Luca della Somaglia. W czasie narad okazało się, że stowarzyszenie potrzebowałoby w razie wyruszenia członków stowarzyszenia do obozów, 6,000 białych szarf z czerwonym krzyżem, które jako oznaka towarzystwa, dają jego członkom wolny dostęp wszędzie, gdzie wzywa ich głos przyjątego obowiązku. Królowa wyraziła życzenie, aby robota zajęły się panie stowarzyszone, rozbijając ją między siebie. Na drugi dzień był w Kwirynale wielki obiad dla członków stowarzyszenia, dla których tak król, jak królowa starali się okazać gościnnymi gospodarzami.

W wilią wystawy, d. 5 Maja, oboje królestwo wraz z księciem Neapolu i hrabią Turynu, synem księcia Amadeusza, Emanuelem Filibertem wyjechali do Bolonii, gdzie przyjmowani przez władzę i tłumy ludu okazujące wielki zapal i radość oglądania królewskiej pary, zajęli przygotowane dla nich appartamenta w starożytnym ratuszu, który oblegał długo lud, manifestujący patryotyczne swe uczucia, związane z miłością dynastii *króla oswo-bodziciela*. Usiłowano zaznaczyć to tem silniej z przyczyny tej właśnie, że arcybiskup boloński, kardynał Battaglini, nie znajdował się obok syndyka Bolonii przy uroczystości przyjmowania królestwa u bram miasta, do którego przybywali poraz pierwszy. Kardynał miał się podobno tłumaczyć królowi sekretnie z tej nieobecności swojej rozkazem Papieża, wzbraniającym mu tego, ponieważ Bolonia, tak, jak cała prowincja Emilii, uważana jest zawsze w Watykanie jako część posiadłości papieżkich, w których nie może być żadnego innego władcy prócz Papieża. Przecież z rozkazu arcybiskupa królestwo byli przyjmowani bardzo uroczysto przez duchowieństwo wszystkich kościołów, które zwiedzali i gdzie kapłani wychodzili naprzeciw nich do drzwi kościelnych, z krzyżem w ręku i w kapach, na czele processyi, rozwijając całą tradycyjną pompę, używaną przy podobnych ceremoniach. Dnia 10 Maja, w święto Wniebowstąpienia, oboje królestwo wraz z królewiczem słuchali cichej mszy porannej w katedrze, a potem, gdy odbywała się processya po placu S-go Petroniusza z obrazem Matki Boskiej, uważanym za dzieło S-go Łukasza i ztąd zwanym *Madonna di San Luca*, uczestniczyli w niej z balkonu ratuszowego i przyjęli w ten sposób błogosławieństwo arcybiskupa, udzielone ludowi. Przyczem królowa klęczała pobożnie, ze złożonymi rękami i schyloną kornie głową, co wprawiało lud w gorące uwielbienie dla tej ukochanej przez całe Włochy pani.

Wystawa sprowadziła do Bolonii gości z całych Włoch i otwarcie jej w d. 6 Maja było wielce wspaniałe i malownicze, co już jest przywilejem wszystkich uroczystości włoskich, a to przez starożytny, tradycyjny charakter form zachowywanych w podobnych okolicznościach. Odbywało się to o godzinie 1-iej z południa. Strzały działowe oznajmiły miastu wyruszenie z ratusza orszaku królewskiego, który ciągnął wspaniałą ulicą *San Stefano*, wzdłuż której uszykowało się 260 różnych cechów i bractw starożytnych, różnych korporacji, z chorągwiemi swemi, ze sztandarami: *gonfalini*, wszystkich miasteczek całej prowincyi, czemu towarzyszyło 46 orkiestr, a wszystko to w strojach właściwych: wielce rozmaitych, oryginalnych i charakterystycznie pięknych. Przodem miał przed sobą ten szpaler malowniczy wyciągnięty kordon wojska w paradnych mundurach, a poza sobą niezliczone tłumy ludu, który napłynął ze wszystkich miast i wsi całej prowincyi.

Specjalne pociągi kolei żelaznej zwoziły go od dni kilku i nietylko wyległ on teraz na ulicę, którą przejeżdżał orszak królewski. Okna, balkony, dachy starożytnych kamienic i pałaców roily się ciżbą ciekawych i rozentuzjuszowanych tłumów.

Orszak królewski poprzedzony był oddziałem kirassyerów; posuwał się on z wolna i lud mógł mu się dobrze przyjrzyć. Najpierw w paradnym powozie, zaprzężonym sześcioma końmi, jechał król, królowa, królewicz i hrabia Turynu: Emma-

nuel Filibert. Król i królewicz byli w mundurach generalskich, księżę Emmanuel, który jest uczniem wojskowej szkoły modeńskiej, we właściwym mundurze. Królowa miała, jak zwykle, bardzo piękną i wytworną toaletę: jasno-zieloną ze złotem, a na kapeluszu brylantowe kolibry. Zaraz za królewskim powozem jechali ministrowie Crispi i Grimaldi, także w mundurach, dalej jeszcze parę powozów z damami i urzędnikami dworu królewskiego, a zatem znowu oddział kirassyerów, a dodać trzeba, że na rosłych i paradnych karych koniach.

W głównym pałacu wystawy zebrany był cały wielki świat włoski, urzędniczy i ze sfer arystokratycznych, blisko trzy tysiące osób: kobiety w świetnych strojach, panowie w mundurach, lub we frakach. Na wschodach przedsiönka czekał syndyk miasta, kommandor Tacconi, komitet wystawy z prezesem swoim hr. Codronchi, rektor starożytnego uniwersytetu Cappellini, oraz jego reprezentacya, deputacye rozmaite, a między nimi deputacya dziewic miasta w bieli, podała królowej przepyszny bukiet konwalii. Ogromny przedsiönek wystawy oddzielony jest od jej głównego, wielkiego salonu bardzo pięknym przepierzeniem. Tu stał, oczekujący na królewską parę, wspaniały tron na podwyższeniu i ze złotym baldachimem, ale usiadła na nim tylko królowa, trzymając ów piękny, wonny bukiet. Król, księżęta i ministrowie stanęli na stopniach i zaczęły się mowy.

(Dokończenie nastąpi)

Wiadomości z Medycyny i Hygieny Popularnej.

Antyseptyczne leczenie ran.

Jeszcze nie upłynął drugi dziesiątek lat od chwili rozpowszechnienia przy leczeniu ran, opatrywania sposobem antyseptycznym czyli przeciwnym. Dziś stanowczo skończyło się królowanie szarpi, którą „darły“ nasze matki, siostry i żony, a w razie wojny cały naród, i nigdy nastarczyć jej nie można było, dziś system opatrywania ran został kardynalnie zmienionym i to z nadzwyczajną korzyścią dla chorych. Kto nie zapomniał jak wyglądała rana opatrzona szarpią i miał sposobność widzieć takową leczoną za pomocą antyseptycznego opatrunku, ten od razu zrozumie i będzie zmuszonym podziwiać doniosłość tego ostatniego.

Kiedy dawniej rana bywała zaogniona, zanieczyszczona wydzieliną, t. j. ropą i bardzo często, w mniejszym albo większym stopniu cuchnącą; kiedy dawniej dotknąć się jej bez wstępu nawet specjalista, przyzwyczajony do tego rodzaju przyjemności, nie był w stanie; kiedy dawniej tylko lekarze, felcerzy lub Siostry Miłosierdzia miały tyle cywilnej odwagi, by przystąpić do zmiany podobnego opatrunku — dziś, przy opatrywaniu antyseptycznym, przedstawia się rana koloru różowego, pokryta jest ziarniną (*granulatio*) w odpowiedniej ilości i jakości; dziś ropienie jest tak ograniczonem, że można bez przesady powiedzieć, że rana się zagaja bez kropli ropy i nie wydziela żadnego prawie nieprzyjemnego zapachu, z wyjątkiem swoistego, pochodzącego od kwasu karbolowego, który doskonale można zastąpić innym dezynfekcyjnym ciałem, jak np. kwasem salicylowym lub bornym. Znakomitą doniosłość tego sposobu opatrywania ran, stanowi okoliczność, że nie potrzeba tak często zmieniać go. Dawniejszy opatrunek szarpiowy mógł pozostawać na ranie najdłużej jedną dobę, a najczęściej wypadało go dwa a czasami i trzy razy w tym czasie zmieniać, tymczasem dzisiaj może pozostać na kilka, lub nawet kilkanaście dni. Co za kolosalna wygrana, przede wszystkim dla pacjenta, któremu oszczędzamy bólu, a następnie dla lekarza, który oszczędza

drogi czas. Wreszcie, opatrunek może być bez wstępu nałożony przez osoby najwrażliwsze.

Ten ostatni wzgląd jest kolosalnej doniosłości i zachęcił nas do zapoznania czytelników *Bluszczu* ze sposobem nowego opatrunku.

Najczęściej opatrują rany felcerzy, lub przynajmniej służą lekarzom za pomocników przy opatrywaniu, czyszczą narzędzia i utrzymują materiał opatrunkowy. Sądzę, że zaznajamiać laskawo czytelniczki z niechlujnością i niedbałością tych panów pomocników, niestety, niezbędną jak dotąd, jest rzeczą zarówno zbyteczną, jak wstrętną, nadmienię tylko, że skutkiem takowej jest bardzo często zarażanie rannych takimi chorobami, jak róża, gangrena i t. p. Kto przeto chce mieć pewność uniknięcia tych niepotrzebnych komplikacji, powinien nauczyć się opatrywania antyseptycznego ran, które, jak zaraz zobaczymy, niema nic wspólnego z filozofią... schopenhauerowską nawet.

Zazwyczaj rana, bądź-to naniesiona wypadkiem, bądź też pooperacyjna, jeżeli tylko nie towarzyszy jej groźniejszy krwotok, lub nie jest wielkich rozmiarów, sama przez się nie zagraża choremu niebezpieczeństwem, takowe powstaje dopiero wówczas, gdy nastąpi zakażenie rany. Skutkiem tego łatwo zrozumieć, że każda rana, zarówno mała, pochodząca np. od ukłócia, jak i największa, powinny być opatrywane sposobem antyseptycznym. Do pierwszej zarazek ma bezwątpienia łatwiejszy przystęp, lecz i do drugiej dostać się może. Prócz tego zarazek może się wytworzyć w samej ranie, jeżeli ta nie jest należycie opatrzona. Jeżeli dodamy do powyższych względów, że koszt jaki się ponosi za opatrywanie ran, jest dosyć znacznym, musimy dojść do przekonania, że warto poświęcić kilka chwil czasu, aby nauczyć się, jak należy, nakładać opatrunek antyseptyczny.

Oddawna uczeni, przy pomocy mikroskopu odkryli w ropie istoty mikroskopijne, podtrzymujące ropienie, w nowszych czasach udało się wykryć w niej bacilusa, podobnego do tych, jaki spotykamy w innych chorobach zaraźliwych. Otóż przeciwnym opatrywaniem ran zasadza się na tem, aby niedopuszczyć go do rany, a znajdujące się już powstrzymać w rozwoju.

Cel ten osiągamy w zupełności przez opatrywanie ran sposobem d-ra Lister'a.

Uczony ten chirurg angielski stworzył metodę, która z początku natrafiła na wielu przeciwników lecz wkrótce zaczęto ją stosować w klinikach takich znakomitości, jak Esmarch'a w Kiel, Volkman'a w Halle, Thiersch'a w Lipsku, Billrotha, Nussbauma, Dittel'a i wielu innych. Dziś w całym świecie cywilizowanym, z pewnymi modyfikacyami, opatrują rany metodą Lister'a.

Statystyka wykazuje, że z chwilą wprowadzenia do chirurgii metody Lister'a, liczby zakażeń takimi chorobami, jak ropnica (*pyaemia*) i posocznica (*septicaemia*), a także tak nazwane zakażenia popołogowe, i skutkiem tego śmiertelność, znakomicie się zmniejszyła.

Metoda ta, jak zresztą każda rzecz na świecie ma swoje ujemne strony, jakoto: nieco większy koszt na materiały opatrunkowe, wymaga więcej czasu (w pojedynczych razach) i zachodu, a prócz tego, przy użyciu kwasu karbolowego, który, — jak już wyżej wzmiankowaliśmy — może być zamiennym kwasem bornym lub salicylowym, zdarzają się wypadki otrucia (*carbolicismus*), w gruncie rzeczy jednakże nie grożące żadnem poważnem niebezpieczeństwem. Jakże podrzędni są te okoliczności w porównaniu z zagwarantowaniem choremu takich korzyści, jak niedopuszczenie róży, zgorzeli szpitalnej, ropnicy i posocznicy? A powikłania te nie zdarzają się jedynie w szpitalach, bywają dosyć często i u chorych leczących się w mieszkaniach prywatnych dokąd właśnie przynoszonymi zostają przez felcerów: ich nieobmyte ręce, narzędzia i opatrunkowy materiał.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie powyższe okoliczności, podajemy przynajmniej w streszczeniu, do wiadomości naszych czytelników metodę opatrywania ran wskazaną przez Lister'a.

Zasadą tej metody jest niedopuszczyć do rany

nie, coby ją mogło zanieczyścić, a więc owych nieproszonych gości zwanych bakteriami.

Następnie drażnić ranę we właściwy sposób, wiadomą bowiem jest rzeczą, że za pomocą drażnienia pobudzamy obnażone tkanki do rychlejszego wytwarzania ziarniny, niezbędnej do gojenia się rany i tkanki bliznowej, z której pomocą następuje zabliznienie rany. I wreszcie ułatwić odpływowi z rany, starając się, aby wydzielina (ropa) jaknajłatwiej w opatrunek wsiąkała i przetem nie ulegała rozkładowi.

Listerowi, w jego sposobie opatrywania, nie chodzi weale, jak to wielu sądzi, o hermetyczne zamknięcie rany, o możliwe niedopuszczenie do niej powietrza, zawierającego owe chorobotwórcze bakterie; przeciwnie, opatrunek jego składa się z przedmiotów dziurkowatych z łatwością pozwalających na odpływ ropy i przyływ powietrza, celem jego tylko jest nie dopuścić do rany zarazków, znieść szkodliwy wpływ atmosferycznych fermentów i tym sposobem zmniejszyć ropienie i uniknąć zarażenia rany, i, co po zatem często idzie, krwi.

Należy przyznać, że cel zamierzony w większej części został osiągnięty, że wydarzające się zarażenia powstają skutkiem nieumiejętności lub też niedbalstwa i skutkiem tego dziś przestępcy pod tym względem bardzo słusznie ściągani są i karani przez prawo.

Przychodzi nam teraz wyliczyć materiały potrzebne do opatrunku>Lister'a.

Pięcioprocentowy roztwór kwasu karbolowego, którego formuła tak się wypisuje:

Rp. Acidi Carbolicci 3j
Aq. Destillatae 46j

Takim roztworem powinien każdy przystępujący do opatrunku obmyć ręce, sąsiednie części rany, narzędzia i t. p.

Roztwór 2½ procentowego roztworu tegoż kwasu (3½—46j) do obmywania samej rany, zwilżenia opatrunku i napełnienia pulweryzatora, o którym poniżej powiemy.

Prócz tego potrzebną jest ceratka ochronna (silk protective), jest ona ciemno-zielonego koloru, bardzo delikatna powleczona mieszaniną jednej części dextryny, 2 części krochmalu i 16 części pięcioprocentowego roztworu kwasu karbolowego; służy do pokrycia ran i wrzodów, nie wszyscy chirurdzy używają silku przy opatrunkach.

Muslin antyseptyczny, wygotowany w wodzie i natarty mieszaniną kwasu karbolowego, żywicy i twardziej parafiny.

Makintosh, materiał nieprzemakalny zrobiony z bawełny i kauczuku ma za zadanie niedozwolić wydzielania się ropy nazewnątrz; skoro takowe nastąpi należy opatrunek natychmiast zmienić.

Wata karbolowa lub salicylowa. Pozbawia się watę tłuszczu przez wygotowanie z ługiem i przemycanie wodą i następnie nasycę kwasem karbolowym. Wata taka powinna być hygroskopijna t. j. chciwie chłonać płyny, przekonać się o hygroskopijności waty bardzo łatwo, jeżeli bowiem jej kawałek rzucimy na wodę tonie na tychmiast, gdy wata zwyczajna pływa po powierzchni.

Czasami zachodzi potrzeba użycia tak nazwanych drenów, są to rurki elastyczne ułatwiające odpływ wydzieliny z rany i zarazem wywierające niezbędne drażnienie.

W ostatnich czasach prawie w powszechne użycie wszedł Jodoform. Jest to proszek krystaliczny żółtawego koloru, podobny do siarki, służy do posypywania ran. Antyseptyczne jego działanie nie zostało dostatecznie stwierdzone, lecz pokrywając ranę tamuje on dostęp grzybkom chorobotwórczym. Używają jego roztwór (rozpuszcza się w alkoholu i tłuszczach) do nasycania waty i gazy; skutkiem tego mamy także watę i gazę jodoformową.

Zapoznawszy się z działaniem opatrunku antyseptycznego i arsenalem jego przyborów, możemy przyjrzeć się teraz w jaki sposób nakłada się opatrunek na ranę.

Przypuśćmy, że mamy opatrzyć ranę na przedramieniu.

Najpierw więc należy ranę oczyścić jak-

najdokładniej z ropy, skrzepów krwi i dawniejszych cząstek opatrunku, pozostałych na niej po zdjęciu starego. W tym celu pomocnik ujmując rękę za dłoń i łokieć i trzyma ją nieruchomo. Pod przedramie podstawi się naczynie, w które spływa płyn służący do przemycania, a którym jest 2½ procentowy roztwór kwasu karbolowego, letniego. Najlepiej polewać ranę ze zwyczajnego czajnika, wszelkie bowiem szprycki, przy nieumiejętnym użyciu, sprawiają choremu ból i rozbrzydają wydzielinę rany. Zarówno pomocnik, jak i opatrujący powinni ręce obmyć roztworem 5% kwasu karbolowego, zanim przystąpią do opatrunku; to samo należy uczynić ze skórą otaczającą ranę. Jeżeli do rany przylegają cząsteczki skrzepłej ropy, krwi lub kawałki waty, które pod wpływem strumienia kwasu karbolowego nie oddzielają się, należy zmoczyć w nim pincetę i ostrożnie zdjąć takowe. Następnie posypuje się ranę jodoformem. Na szeroki koniec pincetty bierze się trochę jodoformu i strzepuje z niej potroszę w ten sposób, jak z noża zstrzepuje się sól lub pieprz dla przyprawienia potrawy, skuteczniejsza się to dotąd dopóki cała powierzchnia rany nie pokryje się jednakową grubości warstwą jodoformu. Dalej nakłada się kawałek protective wielkości rany, który poprzednio zmywa się w roztworze karbolu, na to znowu kilka kawałków muslinu zmoczonego w karbolowym roztworze, później kilka (6—8) kawałków suchej antyseptycznej waty i kawałek makintoshu. Wreszcie przykrywa się to wszystko watą karbolową i umocowuje bandażem flanelowym.

Ażeby opatrunek był w ścisłym znaczeniu tego słowa antyseptycznym, należy dokonywać go pod *deszczem karbolowym*, ku czemu służy wyżej wspomniany pulweryzator lub też tak nazywana *spreja*. Jest to przyrząd podobny do maszyny inhalacyjnej, który wyrzuca na pole działania bezustanny strumień rozpylonego roztworu kwasu karbolowego.

W ostatnich kilku latach bardzo obszerne zastosowanie w opatrywaniu ran znalazł kwas borowy, którego antyseptyczne działanie jest równie potężne, jak karbolu, a ma tę nad nim wyższość, że jest bez zapachu, tudzież chloruńki rtęci (sublimat) jeszcze potężniejszy środek przeciwnie, lecz wymagający wielkich ostrożności przy użyciu z powodu swych własności trujących.

Oto wogólnych rysach sposób listerowski leczenia ran. Muszę nadmienić, że stosownie do rany i jej położenia podlega licznym modyfikacyom, że skutkiem tego połączone bywa jego nałożenie z pewnemi trudnościami; kto jednak zrozumiał główny jego cel, już po jednorazowym przyjrzeniu się, jak lekarz nakłada opatrunek, najczęściej sam jest w możności go skutecznie.

Powtarzamy raz jeszcze, że warto poświęcić nieco czasu i przezwycieżyć wstręt, gdyż tym sposobem można chorego ocalić od ciężkiej choroby, a czasami i od śmierci.

Co do niezbędnej przytem zręczności, to wszakże kto potrafi haftować i robić *point à l'aiguille*, ten łatwo wyuczy się ująć pincetę i nałożyć bandaż. Kto wie, czy nie zręczniej, aniżeli nie jeden...?

J. S.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Dr. Ochrowicz i hypnotyzm.—Insolacja elektryczna.—Środek dezynfekcyjny.—Wycieczka nadpowietrzna.—Nowy środek na sen.—Kretowiska.—Zjawisko natury.—Konserwowanie kwiatów.

(Dokończenie).

W Sierpniu roku zeszłego towarzystwo francuskie Żegluga Nadpowietrznej zorganizowało wyprawę w celu przekonania się, w jak wielkiej wysokości od powierzchni ziemi może człowiek

utrzymać się przy życiu. Znany aeronauta p. Jovis z Marsylii w towarzystwie malarza Mallet'a, wybrali się w podróż balonem *Horla*, który wyruszył z fabryki gazowej w Vilette o godzinie siódmej z rana.

Objętość *Horli* wynosiła 1.680 metrów, a waga wraz z łożką 400 kilogramów materiału, z którego balon zbudowano, był powernixowanym z obu stron, co znakomicie zmniejsza wydostawanie się gazu z balonu.

Zabrano z sobą: barometr przeznaczony do ocenienia wysokości wzniesienia się,—skala na nim wynosiła do 10.000 metrów wysokości; termometr z podziałką do 30 stopni poniżej zera; hygrometr przeznaczony do wskazywania nasycenia wilgocią lub suchości przebytych przestrzeni; elektroskop i elektrometr dla oceny nasycenia powietrza elektrycznością, i bussolę. Prócz tego dwa balony opróżnione maszyną pneumatyczną dla następnego zbadania powietrza górnych stref. Wszystkie te narzędzia pomieszczano w skrzyniach i opieczętowano.

Oto rezultat podróży podany przez p. Jovis. „O 7-ej wyjechaliśmy z fabryki gazowej. Wiatr zapędził nas na zachód; po 40 minutach znaleźliśmy się znowu nad fabryką, a wiatr gnał nas teraz w stronę wschodnią. O 8.40 znajdowaliśmy się 4.800 metrów nad ziemią, temperatura była wtedy—2°, o 9,15 dosięgliśmy 6.000 metrów, a termometr wskazywał + 3°, o 9,45 byliśmy na wysokości 6.600, przy temperaturze + 1°, nakoniec o 10-ej znaleźliśmy się na 6.650 przy temperaturze — 3°. Towarzysz mój w tej chwili zemglał, byłem zmuszony cucić go tlenem, jaki mieliśmy w balonach. Pomimo to żąda, abysmy się jeszcze wzniesli, wyrzucamy ostatni balast, którego zabraliśmy 400 kilogramów i znajdujemy się po chwili w temperaturze — 5°, o 10,10 dosięgamy 7.000 metrów, termometr wskazuje — 3°. Mallet czuje się zupełnie zdrowym, co do mnie nie uczuwałem żadnej różnicy, rozmawiamy zwyczajnym głosem; struny głosowe nie podległy żadnym zaburzeniom, a siły fizyczne pozostały również niezmiennymi.

„Balon nasz pokryty jest szronem, a chmury bardzo zbite. W tej chwili nie słyszemy głosu naszego, spadek odbywa się nadzwyczaj bystro. Spadliśmy w lesie odległym od Paryża o 380 kilometrów, które przebyliśmy w przeciągu 4-ch godzin.

„Dwie świnki morskie zniosły podróż doskonale, a dwa gołębie wypuszczone, jeden na wysokości 4.000 metrów, drugi w chwili opadania nie wróciły.”

Wysokość, jakiej dosięgnął p. Jovis, nie jest największą. Aeronauta Tissandier wznosił się do 8000 metrów i utrzymuje, że właściwe niebezpieczeństwo dla życia człowieka rozpoczyna się dopiero powyżej 7.000. W tej strefie bez sztucznego oddychania tlenem niepodobna żyć człowiekowi.

Prof. Kast z Freiburga odkrył nowy środek na sen, i nazwał go „Sulfonal.“ Jest on produktem utlenienia związku Etylmerkaptanu z Acetonem, przybiera postać krystaliczną, kryształ są pozbawione smaku i zapachu, a rozpuszczalność ich znaczna. Sulfonal, zażyty przez ludzi silnych i zdrowych, nie wywiera prawie żadnego działania, a własność nasenna jego objawia się u ludzi nerwowych i osłabionych. Środek ten, według prof. Kasta sprowadza sen, nie wywołując zwiększonego ciśnienia krwi w naczyniach krwionośnych, i dlatego może być bez obawy podawanym osobom cierpiącym na serce. Własność usypiająca tego środka została wypadkowym sposobem odkrytą; podawano go psom w zupełnie innych celach; tymczasem przekonano się, że pod jego działaniem stawały się jakby upojonemi i wkrótce twardo zasypiały. Rozpoczęto wówczas doświadczenia na zdrowych, przeważnie na lekarzach, następnie robiono próby w klinikach i zakładach leczniczych na chorych, których rezultat okazał się pod wszystkimi względami zadawalającym, tak, że dziś poczytywać można Sulfonal za środek pewnie działający.

Znany propagator welniarstwa i wachacz duszy dr prof. Jaeger, zaleca również nowy sposób na bezsenność. Zapewnia on, że zapach, jaki wy-

dają włosy wielbłądzie działa uspokajająco na rozdrażniony, z jakichkolwiek powodów, systemat nerwowy i skutkiem tego sprowadza tak upragniony i potrzebny sen. W tym celu prof. Jaeger zaleca, aby osoby cierpiące na bezsenność kładły się spać na poduszkach wypchanych włosem wielbłądzim, a skutek ma być niezawodnym. Prawdopodobnie wkrótce będziemy czytać w ogłoszeniach o tem nowem odkryciu niemieckiego higienisty-wąchacza-wielbłądźca!

* * *

P. Mac Cooney z Blaney w Australii obserwował, w jaki sposób krety zamieszkujące słodkie wody (*chelodina longicollis*) a dostarczające pożywnego mięsa i szyldekretu, wielce poszukiwanego na grzebienie, papierońnice i t. p., budują sobie w ziemi kretowiska dla składania w nich jaj. Ciekawe to spostrzeżenie podaje „Humboldt.“ Otóż krety oddalają się od rzeki na dosyć znaczną przestrzeń, bo dochodzą niekiedy 300 m., unosząc z sobą pewną ilość wody, która im służy do rozmiękczenia gruntu. I tak, rozmiękczwszy w ten sposób grunt, rozpoczynają kopanie tylnymi nogami; doszedłszy do głębokości jednego cęła, puszczają znowu pewną część wody, usuwają utworzony skutkiem tego muł i kopią dalej; w razie, gdy grunt jest bardzo zbitym, i zapas wody nie wystarcza, natenczas wracają do rzeki, zaopatrują się w nową ilość wody, i zwykle nazajutrz dopiero prowadzą dalej rozpoczęte dzieło. Powtarza się to dotąd dopóki nie osiągną około 7 cali głębokości. Innym razem zauważył p. Cooney, jak kret w czasie kopania puszczał na ziemię bezustanny strumień wody. Zawsze wybierają dla swych gniazd grunt niezarośnięty trawą i zarazem najtwardszy jaki tylko znaleźć mogą. Gdy kretowisko dosięgło właściwej głębokości, wówczas zwierzę znosi 6 jajek, które pokrywa lekką warstwą ziemi, nazajutrz znosi nowych 6 jaj i pokrywa znowu warstwą ziemi i t. d., aż do 18 lub 36, dopóki jama w zupełności się nie wypełni. Z najpierw złożonych wylęgają się młode i wylażą z kretowiska, aby zaczęły się nad brzeg rzeki, gdzie w dalszym ciągu się rozwijają.

* * *

Niezwykle zjawisko natury obserwowano przed niedawnym czasem w Szczecinie. W kilka chwil po północy księżyc pokrył się delikatnym obłokiem, niezminiejszającym prawie wcale jego blasku. Cała tarcza księżycowa była otoczona świetlanym wieńcem a wokoło niego wystąpiły dwa współśrodkowe koła, z których wewnętrzne przybrało kolor jedynie żółty, gdy tymczasem zewnętrzne posiadało wszystkie kolory widma słonecznego, i to tak wyraźne, jak widzimy w tę czy słonecznej podczas dnia. Zjawisko to trwało około minuty, poczem zniknęło na pewien czas, aby się jeszcze kilkakrotnie ukazać, jednakże już daleko niewyraźniej, a to z przyczyny, iż coraz gęstsze, nieregularne obłoki pokrywały tarczę księżycy. W czasie zjawiska termometr Celsiusza pokazywał 10 stopni niżej zera.

* * *

W celu zachowania kwiatu w świeżym stanie, zalecają po zerwaniu umaczać go w roztworze wodnym gummy arabskiej, skutkiem czego płatki pokrywają się cieniutką warstwą tego płynu, krzepnącego w niedługim czasie. W ten sposób będąc pozbawionemi przystępu powietrza, nie wędną przez czas bardzo długi i zachowują przymioty, naturalnie z wyjątkiem zapachu rośliny,

tylko co zerwanej. Podobno róże konserwują się pod taką powłózką gummy przez kilka miesięcy doskonale.

J. S.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Kościół w Łodzi**, którego konsekracji dokonał obecnie J. E. Arcybiskup Popiel, zaczął być budowany w 1860. Poprzednio Łódź miała tylko jeden stary kościółek drewniany, przeniesiony teraz ze Starego Miasta na plac pocmentarny przy ulicy Konstantynowskiej. Budowa kościoła, przerwana w 1863 r., podjęta została na nowo w 1872, trwała więc razem lat 28, a prowadzoną była całkowicie groszkiem składkowym. Wśród ofiar na ten cel zaznacza się wspaniały dar, przeszło 40,000 rs., uczyniony przez rodzinę Scheiblerów, o której powiedzieć można, iż żyła się pocziwie z krajem przybranej swej ojczyzny. Znaczną też summę kilkunastu tysięcy rubli dał wspaniałomyślnie p. Julian Heinzel; roboty malarskie wewnątrz kościoła, dokonane zostały kosztem rodziny Herbstów.

Nowy ten kościół pod wezwaniem Ś go Krzyża zbudowany jest w stylu romańskim według planu budowniczego Tournelle. Robotą kierował początkowo architekt Majewski, następnie Markiewicz.

— **O początku Wawelu**, wywody historyczne, skreślił ks. Ignacy Polkowski. Autor dochodzi do przekonania, że świątynia zbudowana była na schyłku X wieku.

— **Współka malarzy i rzeźbiarzy** zawiązała się w Warszawie z celem przyjmowania zamówień na obrazy kościelne, portrety i ozdoby rzeźbiarskie, zapisało się do niej 45 artystów.

— **Nowy teatr we Lwowie** ma już stanowczo być wzniesiony w miejscowości zwanej *Waty Hetmańskie*, frontem do Placu Gołuchowskiego. Koszta budowy, oprócz urządzenia dekoracji, są uchwalone na 600.000 zł. reń. Szerokość budynku metrów 40, wewnątrz 48 łóż przez trzy piętra i 1.000 siedzących; stojących nie będzie wcale.

— **Huculska spółka przemysłowa** została zawiązana w Kołomyi, ważna ze względu na poparcie samodzielnego przemysłu domowego tamtejszego ludu.

— **Stoletnia rocznica** wyprawy i śmierci francuzkiego podróżnika La Pérouse, obchodzoną jest uroczystością w Paryżu przez Stowarzyszenie geograficzne, które urządziło wystawę, składającą się z pamiątek pozostałych po tym męczenniku nauki. Urodzony w 1741 roku La Pérouse został wysłany przez Ludwika XVI-go w podróż na około świata z celem odkryć. Wyprawa składała się z dwóch okrętów królewskiej marynarki francuzkiej „La Boussole“ i „Astrolabe“, a które rozbiły się w 1788 przy brzegach wyspy Vanikora, gdzie La Pérouse i jego towarzysze: kawaler de Langle i Barthélemy de Lesseps, stryj dzisiejszego twórcy Kanału Panamskiego, znaleźli śmierć okrutną — przepowiedzianą na przód przez sławnego czarodzieja: Cagliostro czyli Balsamo.

W 1826 r. rząd francuzki wysłał znanego potem jako pisarza i podróżnika, a wtedy młodego, odważnego żeglarza, Dumont d'Urville, na odszukanie śladów i powzięcia jakichkolwiek mniej więcej pewnych wiadomości o losie nieszczęśliwych rozbitków, co przecież okazało się rzeczą trudną i niebezpieczną. Krajowcy nie chcieli towarzyszyć Francuzom w głąb wyspy Vaniko-

ro, gdzie wedle ich podań, ziemia i powietrze mszczą się na człowieku, chcącemu wdziarać się tam w ich tajemnice, co też okazało się prawdą. Cała załoga Astrolaba (drugiego), uległa szkodliwej febrze i utwierdziwszy się tylko w przekonaniu, że La Pérouse znalazł śmierć okrutną u tych niegościnnych brzegów; postawiwszy mu tam pomnik, i zebrawszy co się dało przedmiotów pamiątkowych, wyprawa powróciła do ojczyzny. Dziś po upływie lat 62, znajduje się przy życiu jeden już tylko z jej uczestników: wiceadmirał Pâris, który był wtedy na Astrolabie młodym kadetem marynarki. Obecnie ma on lat osmdziesiąt dwa, jest konserwatorem muzeum marynarki w Luvrze, i on też przyłożył się głównie do tego, aby wystawa La Pérouse'a była zajmującą i ciekawą dla publiczności.

W życiu nieszczęśliwego podróżnika znajduje się tkliwy romans. Mając lat trzdzieści, La Pérouse poznał i pokochał młodzieńką, szesnastoletnią dziewczeczkę, Eleonorę Boudrou, córkę urzędnika admiralicyi francuzkiej na Ile de France. Kochany również, dał i otrzymał przysięgę wiernej miłości, której nie zламаł w długiej, lat parę trwającej podróży, ale za powrotem do ojczyzny zastał inne, dla przyszłości swej przez matkę ułożone plany. Upatrzona przez nią dla syna panna—Marya de Vésiane—była bogatą, ze szlacheckiego, jak i on domu, przytem bardzo ładną i miłą, więc posiadała wszystko, co zapewnia szczęście w miłości, lecz La Pérouse miał serce wierne i nie mógł już jej uczuć. Przecież matki umieją w takich razach działać na synów i tu tak się stało. La Pérouse napisał do wiernej mu dziewczyny, że nie może dotrzymać jej słowa—napisał list bardzo pokorny, bardzo smutny, do którego dołączył 80.000 franków z prośbą najtkliwszego blagania, aby przyjęła od niego te pieniądze, jako zapewnienie przyszłości, którą on może zwichnąć.

Opuszczona dziewczyna była ubogą, ale była szlachetnie dumną i nie przyjęła zapłaty za zawód zranionego serca. Odesłała pieniądze, a wtedy on sam pośpieszył do niej z niemi: błagał, aby przyjmując je, zdjęła z serca ciężar niepokoju o jej los, lecz wszystko to, było daremne. Biedna zawiedziona rozplakała się wśród tych próśb, które musiała odpychać, a wtedy jej wzruszenie przeszło w pierś jego. Zahartowany przeciw wrażeniom żeglarz, stracił panowanie nad sobą, i pękły okowy, które wziął na serce. Padł do nóg opuszczonej, nazwał ją znów swoją, a miłość wypróbowana tak ciężko, stała mu się w piersi gwałtowną. Ślub nastąpił prawie natychmiast, tak prędko, że pominięta została formalność bardzo ważna; nie było pozwolenia na małżeństwo od admiralicyi i Bastylia, a potem dymissya groziła nowożeńcowi. Lecz La Pérouse miał zawsze śmiałe, otwarte serce: napisał do ministra marynarki list prywatny, opisujący jak się ta rzecz stała i przebaczone mu.

Małżeństwo to, krótko szczęściem darzące, było bezdzietne. Aby nie zagięło dla Francyi nazwisko bohaterskiego człowieka, który w wiernej służbie dla ojczyzny stracił życie, został wydany w 1815 r. reskrypt królewski, mocą którego dzieci dwóch jego siostr zyskiwały prawo noszenia nazwiska La Pérouse.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: Pogawędka. — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — List z Włoch. — Wiadomości z medycyny i higieny popularnej, przez Dra J. Starkmana. — Z działu przyrody, (dokończenie), przez J. S. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — Przegląd mód. — 20 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozywą stołu.**